

Pociąg przez pustynny kocioł część 4 — StalowyKruk

Od autora: Oto przedostatni fragment, tego krótkiego, ale zdecydowanie za bardzo rozłożonego w czasie opowiadania. Może niezbyt długi, ale zdecydowałem się zakończyć cliffhangerem. Standardowe "Ciąg dalszy nastąpi". Zrobiłem tak, gdyż występuje tutaj swoista wymiana wątków (no i nie chciało mi się więcej napisać). W tej części, chyba nawet bardziej, niż w poprzedniej, starałem się wprowadzić westernowy klimat. Mam nadzieję, że wyszło. Uwielbiam westerny. Chociaż raczej spaghetti westerny, niż pierwszych przedstawicieli gatunku. Ta swoista amoralność przemawia do mnie bardziej, niż rzekoma szlachetność ludzi. Nie lubię, kiedy robi się zbyt patetycznie. Staram się rozładować to żartami sytuacyjnymi. Trzymajcie się i miłej lektury.

Biegł. Biegł, nie zważając na to, co dzieje się wokół. Coraz mniej wagonów dzieliło go od cholernych jeźdźców szarańczy. Słyszał łomot wokoło, wydawany zapewne przez kolejnych napastników szturmujących pociąg, ale nie obchodzili go. Nie zatrzymają go. Widział już tylko czterech napastników na ostatnim wagonie. To jest cel. Od nich trzeba zacząć.

Będąc tuż przed nimi, zerwał w biegu z pleców dubeltówkę. Niestety, zahaczył paskiem o kapelusz, który wykorzystał okazję, by wyrwać się na wolność.

Żeby przeżyć w tak niebezpiecznym zawodzie, należy posiadać przede wszystkim niezawodny refleks, zdolność do szybkiego myślenia i odpowiednie priorytety. Dlatego właśnie Joe, zamiast strzelać, wyciągnął rękę po kapelusz. Złapał go dosłownie w ostatniej chwili. Jeszcze chwila i ten wspaniały wyrób kapeluszniczy odleciałby, by spocząć już na wieki na piaskach pustynnego kotła.

To opóźnienie mogło naprawdę wiele kosztować najemnika. Najbliższy jeździec uniósł do rzutu metalowy oszczep, zamierzając raz na zawsze ukarać małostkowość Joego. Ten widząc, że sytuacja robi się gorąca, niczym nagrany dach, po którym stąpał, płynnym ruchem oparł dubeltówkę w zgięciu łokcia lewej ręki, w której wciąż trzymał kapelusz. Ciężkie, metalowe kulki, z których składała się loftka, dosłownie przemielili twarz i fragment torsu Jeźdźcy. Drugi strzał oddał w głowę wielkiego świerszcza, wsadziwszy mu strzelbę niemal między żuwaczki.

Pozostałych trzech napastników ruszyło by pomścić swojego towarzysza. Nie było czasu na przeładowanie. Joe szybkim ruchem przerzucił strzelbę za plecy, a następnie nasadził nieco już wymięty kapelusz na głowę. Teraz nadszedł czas na taniec.

Wśród rewolwerowców krążyły legendy o wyczynach niejakiego Kida Curry'ego, który rzekomo miał umieć wystrzelić z rewolweru jednotaktowego pięć razy, zanim upuszczony przezeń z drugiej ręki żeton upadł na ziemię. Oczywiście wszyscy, nie wyłączając Joego wiedzieli, że z pewnością opowieść ta była znacznie podkoloryzowana. Niemniej, umiarkowanie ambitny najemnik zawziął się, by jak najbardziej zbliżyć się do tego wyniku. Po naprawdę długich ćwiczeniach, w czasie których, obawiając się, że zabraknie mu pieniędzy na jedzenie, zrezygnował z używania amunicji, osiągnął więcej niż zadowalający wynik czterech strzałów. Na swoje szczęście miał jeszcze inną sztuczkę, o którą nie podejrzewał Kida Curry'ego.

Akimbo.

W każdą dłoń ujął po rewolwerze. Pod palcami czuł chłodny metal i wytarte drewno orzechowe. Znajome uczucie. Euforyczne i przerażające. Trzymał w każdej ręce śmierć. Chociaż nie, śmiercią można określić

srebrne kule, zdolne zranić każdą istotę, niezależnie od stanu transcendentalnego^[1]. Rewolwery robiły tutaj za dozowniki, mające umieszczać srebro w ciałach przeciwników.

To brzmi idiotycznie, zganił się w myślach Joe, otwierając ogień.

Najpierw jeźdźcy. Pierwsza kula, wystrzelona z dzierżonego w prawej ręce rewolweru, zagłębiła się w klatce piersiowej człowieka pustyni. Zgodnie z kolejnością, następny powinien dostać kulkę z lewej ręki. Niestety akimbo charakteryzowało się obniżoną celnością. Joe, nie zrażając się, doprawił z prawej. Z trzecim nie miał już problemu. A wszystko to rozegrało się w jednej, bardzo krótkiej chwili.

Z chęcią by sobie pogratulował i nawet zrobiłby to, gdyby nie pewien drobny szczegół. Właściwie trzy szczegóły. Każdy wielki, opancerzony i wyposażony w bardzo niesympatycznie wyglądające żuwaczki.

Osiem kul. To nie dzieli się na trzy, z irytacją stwierdził rewolwerowiec.

Rzucił się szczupakiem w lewo, unikając szarżującej szarańczy i w szaleńczym tempie wpakował jej cztery kulki w łeb. Czwórką naboji z dzierżonej w lewej ręce broni obdzielił pozostałą dwójkę owadów. Jeden pozostał w miejscu, wierzgając pośmiertnie odnóżami, a drugi, tylko raniony, zdecydował się na ucieczkę.

Joe podniósł się do pozycji siedzącej, przeładował rewolwery i dopiero wtedy uznał za właściwe zorientować się w sytuacji. Na sąsiednim wagonie Zbigniew Terror walczył z dwoma jeźdźcami za pomocą dwóch maczet. Jakkolwiek ciekawie to nie wyglądało, jego przeciwnicy mieli przewagę zasięgu. Choć ciągnąca się do skraju dachu smuga czegoś ohydneho oraz bliżej niezidentyfikowane fragmenty owadzie i ludzkie mogły poświadczyć, że najemnik o gabarytach szafy potrafi o siebie zadbać.

Joe ostrożnie, uważając na kapelusz, ściągnął z pleców strzelbę, naładował ją i wypalił w odwłok bliższego wielkiego owada. Robal spanikował i wbrew protestom swojego pana skoczył, próbując ucieczki. Jego celem była zapewne jedna z wielkich betonowych podpór, utrzymujących torowisko wysoko ponad niszczycielskim piaskiem. Niestety dla niego, złapał się dwoma odnóżami samych torów. Z ohydym chrupnięciem łamanych kołami pociągu nóg stwór spadł na piasek, przygniatając jeźdźca.

Z ostatnim poszło szybko. Joe strzelił pustynnemu wojownikowi w plecy, a Terror zarząbał wierzchowca.

– Ponad setka – mruknął wąsacz, przetaczając wzrokiem po otaczających pociąg jeźdźcach.

– Myślisz?

– Jestem pewien. No prawie.

– I co teraz zrobimy?

– Chyba umrzemy – kulturalnie wyjaśnił Terror.

Joe skrzywił się.

– Miło było Cię poznać – mruknął.

W tej właśnie chwili w stronę pędzących na złamanie karku jeźdźców, od strony pociągu pomknęła smu-

ga dymu. Na oczach najemników, zostawiający ową smugę pocisk eksplodował, pokrywając zarówno wojowników, jak i ich wierzchowce ogniem. Stanowiące teraz znaczną część napastników (jeszcze) żywe pochodnie miały się, tylko powiększając zamęt.

– Co? Jak... – zszokowany Terror miał problemy ze skleceniem porządnego zdania.

– Tesla – wyjaśnił spokojnie rewolwerowiec, zdejmując kapelusz i patrząc ze zgrozą na rozgrywające się u ich stóp piekło. – Musiał mieć to od początku. Kiedy stwierdził, że nie mamy szans sobie poradzić, odpalił to draństwo.

– Dlaczego nie zrobił tego wcześniej? – pytał wciąż niedowierzający siłacz.

Joe popatrzył na niego ponuro.

– A ty byś się odważył?

Garażowy samuraj podszedł do bliźniaków i Erniego, stojących na dachu wagonu pasażerskiego.

– Wygląda na to, że uciekają – zagadnął.

– Też bym spierdalał, widząc coś takiego – odparł Ernie. – Staruszek się popisał.

– To robota Tesli?

– Nie, kurwa, słońce ich przysmażyło.

Samuraj zamilkł, nie zamierzając narażać się dłużej żołnierzowi.

– Skoro problem rozwiązany, możemy wrócić do realizacji planu? – zapytał Aryjczyk.

Ernie kiwnął głową.

– O czym wy mówicie? – zapytał garażowy samuraj, próbując ukryć podenerwowanie. Zdał sobie sprawę, że brakuje mu kogoś w polu widzenia.

Coś oparło się o metalowy pancerz, osłaniający mu plecy.

– Nic osobistego – mruknęła mu cicho do ucha Aryjka.

Ogłuszył go huk wystrzału. Upadł na dach wagonu, zwijając się z bólu. Zacerpnięcie tchu robiło się coraz trudniejsze. Chyba zaczynał rozumieć tych wszystkich ludzi, odradzających mu tę właśnie ścieżkę kariery.

[1] Joe był dumny z zapamiętania tego słowa, choć nie był pewien, co znaczyło.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

StalowyKruk, dodano 10.11.2018 11:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.